Nr. 9. Lwów, 1 maja 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Jeszcze o sztućcach małokalibrowych.

Dokończenie.

Pisząc powyższą rozprawkę o lunecie byłem w toku doświadczeń z takową, dążyłem do poznania przyczyn tej zmienności, o której powyżej mowa i równocześnie prawie z ukończeniem powyższej korespondencyi, udało mi się tym razem odkryć stanowczą przyczynę niestałości lunety w ostrzelaniu. Twierdzę stanowczo, że ostrzelanie lunety jest zawsze tylko chwilowem, że jeżeli n. p. strzelając przez lunetę otrzymamy zadowalający a nawet znakomity rozkład kul w tarczy; to drugim razem liczyć możemy na taki sam rozkład w tym wypadku t y l k o, jeżeli warunki światła w czasie tego powtórnego strzelania będą i d e n t y c z n i e t a k i e s a m e, jak w czasie pierwszej próby. Czyli jako dogmat przyjąć trzeba, że jedynie światło jest czynnikiem normującym dokładności i rzetelności lunety — a ponieważ z każdą chwilą, z każdym naszym ruchem mamy coraz inne światło, bo raz jest jasno, raz ciemno, raz słońce z prawej, raz z lewej, raz przed nami, raz w plecach, dalej kąt padania światła jest każdej chwili inny, więc innym też będzie rezultat strzałów przez lunetę. Luneta w teoryi jest niesłychanym wynalazkiem w zastosowaniu do dalekonośnej broni, ale z powyższych przyczyn redukuje się jej wartość tylko do bardzo kosztownego bawidełka i niepotrzebnego balastu na sztućcu.

Byłem sam zdecydowanym zwolennikiem lunety, robiłem eksperymenta z czterema lunetami, wystrzelałem przez lunetę kilka tysięcy ładunków, chciałem rzecz przeforsować i doszedłem do rezultatu, iż sumiennie mogę każdego ostrzec, że jeżeli mu chodzi o celność jego strzałów, niech da lunecie pokój, a strzela dalej ze swego starego, wypróbowanego sztućca bez lunety, gdyż w przeciwnym razie będzie narażonym, tak jak ja, na najniemilsze niespodzianki.

Jednę z takich niespodzianek opiszę tu mimochodem. Miałem tego roku u siebie parę orłów (*fulva*) przez całą zimę. Robiły ogromne szkody w zwierzynie, starałem się więc wszelkiemi sposobami ich pozbyć. Lecz ani łapki, ani zatruta padlina, ani podjeżdżanie nie doprowadziło do celu. Liczyłem, że przecież kiedyś podjadę je tak, że będę mógł użyć mojej nibyto ostrzelanej na punkt lunety. I rzeczywiście z początkiem marca b. r. podjechałem jednego z tych orłów saniami na odległość, jak później sprawdziłem, 160 kroków. Zeskoczyłem nieznacznie, za grubym dębem, sanki pojechały dalej, orłowi ani się śniło o mojej obecności. No, przecież raz się rozprawimy, pomyślałem. Orzeł siedział na grubej horyzontalnej gałęzi, rysował się przewybornie na tle jasnego nieba, odległość niewielka a w rezultacie pudło. Sobie nie chciałem wierzyć, ale pogodzić musiałem się z rzeczywistością i zły na siebie, winę przypisałem sobie, a nie lunecie. Późniejsze dopiero doświadczenia przekonały mnie, kto był winien.

Na poparcie całego tego mego wyroku o lunecie i na poparcie końcowego mego twierdzenia, że zmiana oświetlenia oddziaływuje na celność lunety, przytaczam tu poniżej protokół jednego z licznych mych doświadczeń, jakie z lunetą przedsiębrałem. Protokół ten graficznie więcej powie, aniżeli ja dotąd powiedziałem. Protokół ten przepisuję dosłownie z moich notatek ze strzelnicy a oryginalne tarcze są dotąd w mojem przechowaniu.

Protokół

doświadczeń z lunetą od 10. do 24. marca 1900.

a) odległość 165 kroków;

b) sztuciec Mausera 8 m/m, kule w półpłaszczach stalowych;

c) strzelanie przez lunetę z oparciem, ze stołu;

d) tarcza, duży arkusz biały, w środku cel czarny z większem kołem o średnicy 10-ciu centymetrów, z mniejszem o średnicy 2 cm.

Powyższe daty odnoszą się do każdej tarczy.

3 kule siedzą zadowalająco z tendencyą w lewo, ale małą i w dół.

Tarcza Nr. 3. 11. marca rano, dzień jasny, słońce z prawej.

3 kule siedzą znośnie z tendencyą w prawo i w górę.

Tarcza Nr. 4a. 12. marca rano, dzień średnio jasny, słońce z prawej.

5 kul zupełnie złych z ogromną tedencyą w lewo.

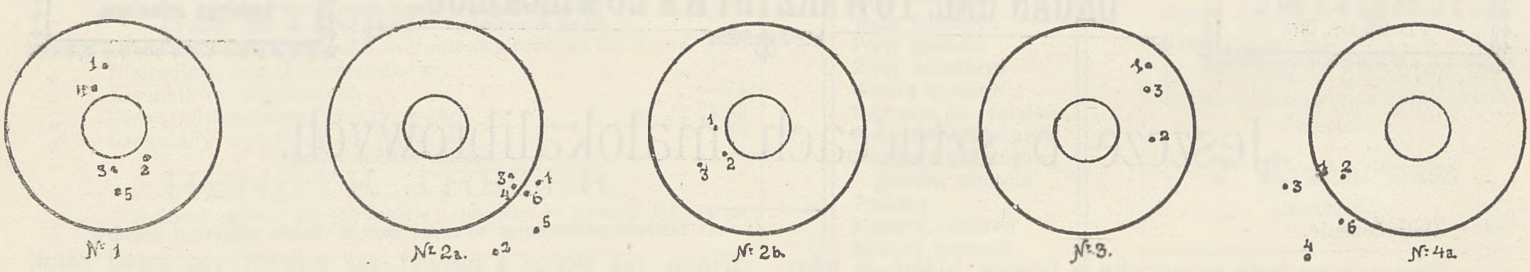
Zaczynam przypuszczać, że tu zmiana oświetlenia odgrywa rolę, jednak mimo tego przesuwam osadę lunety cokolwiek w lewo i otrzymuję w następnej tarczy Nr. *4b.* rozkład kul doskonały.

Uwaga. Luneta a raczej krzyż w niej zastępuje muszkę na sztućcu. Jeżeli więc luneta strzela w prawo, musimy jej osadę przesunąć cokolwiek także w prawo, a wtedy kule zaczną mieć tendencyę w lewo, o którą poprawkę właśnie nam chodzi. Jeżeli luneta strzela w lewo, przesuwamy jej osadę w lewo, a wtedy doprowadzić ją można do dobrego strzelania. Przesunięcia te uskuteczniałem przed rozpoczęciem tego protokołu, aż doprowadziłem lunetę do strzelania, jak w tarczy *Nr. 1.*, dalej, gdy w tarczy *Nr. 2.* i w tarczy *Nr. 4a.* spostrzegłem rażące zmiany w rzucaniu kulami, przesuwałem również odpowiednio osadę lunety, gdyż wtedy mniemałem jeszcze, że te zmiany pochodzą od przypadkowego przesunięcia osady lunety, chciałem więc takową napowrót do właściwego położenia doprowadzić.

Tarcza Nr. 4b. 12. marca rano, dzień jasny, słońce z prawej.

Po przesunięciu osady lunety cokolwiek w lewo, dla skorygowania błędnego strzelania, jak w tarczy Nr. 4*a*, otrzymuję tarczę Nr. 4*b* z 5-cioma doskonałemi kulami.

W coraz silniejszem przypuszczeniu, że zmiany w strzelaniu przez lunetę zależne są od zmiany w oświetleniu, postanawiam, począwszy od tej tarczy (Nr. 4*b*), już nic nie manipulować z osadą lunety, w celu poprawki ewentualnych zboczeń kuli, lecz strzelać ciągle przy różnem



Tarcza Nr. 1. Dzień jasny, słońce z prawej, godzina 10-ta rano 10. marca 1900.

5 kul doskonałych.

Tarcza Nr. 2a. 10. marca wieczór, dzień jasny, słońce z lewej, trochę z tyłu.

6 kul z prawej strony tarczy.

Zdziwienie — przypuszczam, że osada lunety doznała przesunięcia, wskutek czego kule padają na prawo. Naklepuję więc osadę lunety na prawo i otrzymuję tego samego wieczora, po różnych próbach, zadowalający rezultat w następującej tarczy Nr. *2b.*

Tarcza Nr. 2b. 10. marca wieczorem, dzień jasny, słońce z lewej trochę z tyłu.

oświetleniu, jednak zawsze z lunetą ustawioną jak była przy tarczy Nr. 4*b*.

Tarcza Nr. 5. 12. marca wieczór, dzień jasny, słońce z lewej, osada lunety nie ruszona jak w w Nrze 4*b*.

Sześć kul z tych 4 doskonałe
1 ujdzie
1 chybiono.

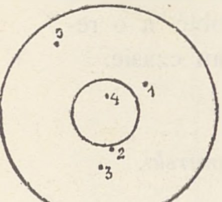
Rezultat zadowalający.

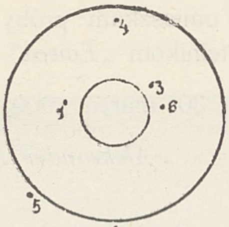
Tarcza Nr. 6. 13. marca rano, dzień pochmurny, słońce z prawej, osada lunety jak w Nrze *4b*.

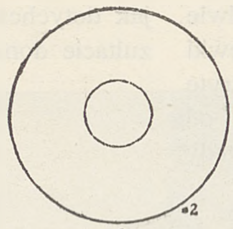
Pięć kul zupełnie chybionych.

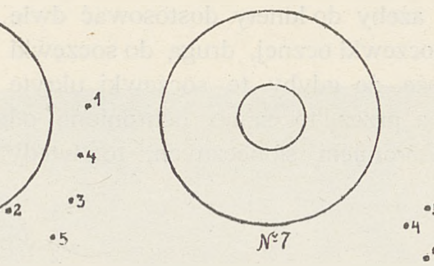
Sztuciec strzela z dużą tendencyą na prawo.

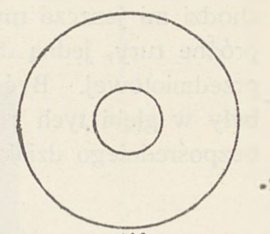
Tarcza Nr. 7. 14. marca rano, pochmurno, słońce z prawej.


Nr. 4b.


Nr. 5.


Nr. 6.


Nr. 7


Nr. 8.

Luneta wykazuje coraz większą tendencyę w prawo.

Strzelać będę dalej, nie ruszając osady lunety, bo przypuszczam, że przy dniu jasnym luneta znowu powróci do dobrego strzelania, jak w Nrze *4b*.

Tarcza Nr. 8. 14. marca popołudniu, pochmurno, śnieg leży.

Przy dniu pochmurnym ogromne zboczenie kul w prawo.

Tarcza Nr. 9. 16. marca rano, dzień średnio chmurny, słońce z prawej.

Przy świetle trochę lepszem, już kule padły bliżej celu i więcej trzymają się razem.

Kula 3 przypadkowa.

miałem słońce z lewej i przed sobą. Otrzymałem rezultat następujący.

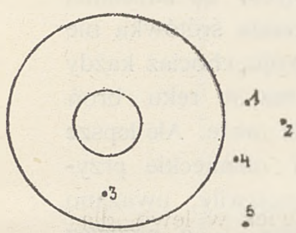
Tarcza Nr. 13. 23. marca rano, słońce z lewej.

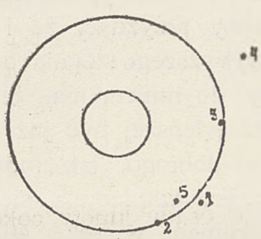
Tarcza Nr. 14. 23. marca rano, słońce z lewej, godzina 10-ta.

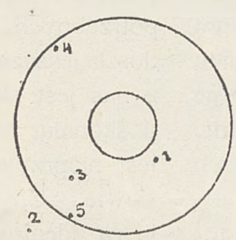
Tarcze Nr. 15 i *16.* 24. marca rano, dzień jasny, słońce z prawej.

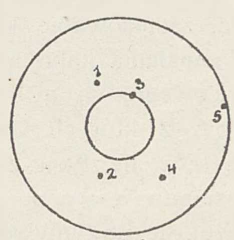
Tarcze Nr. 17 i *18.* Tego samego dnia rano, dzień jasny, słońce z lewej.

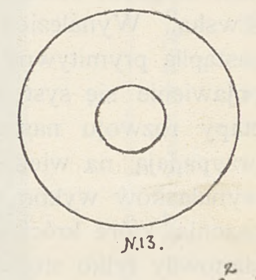
Na tem kończę tym razem eksperymenta z lunetą. Z doświadczeń tych wynika, że jedynym czynnikiem, determinującym rezultat strzału przez lunetę, jest światło.


Nr. 9.


Nr. 10.


Nr. 11


Nr. 12


Nr. 13.

Tarcza Nr. 10. 16. marca południe, średnio chmurno, światło lepsze, jak w Nrze 9-tym, słońce z prawej.

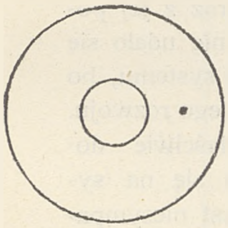
Przy lepszem oświetleniu kule zbliżają się powoli ku celowi.

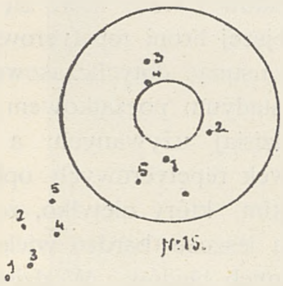
Tarcze Nr. 11 i *Nr. 12.* godzina 9. rano.

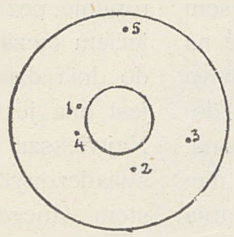
23. marca dzień jasny zupełnie rano słońce z prawej, dwie tarcze doskonałe. Sprawdziło się więc co przypuszczałem. Przy dniu zupełnie jasnym luneta dała ten sam rezultat co w dniu 12. marca w tarczy Nr. 4b. Światło więc tylko wpływa na rozmieszczenie kul.

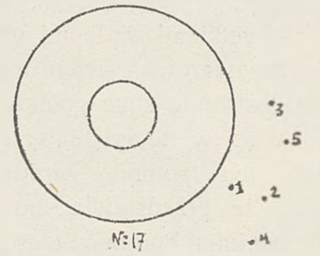
A teraz jeszcze jeden dowód. Strzelałem zawsze dotąd tak, że tarcza stała odemnie na północ, a ja strzelając, miałem słońce po prawej ręce rano. Dla przekonania się o ile twierdzenie moje jest słusznem, obróciłem się w przeciwną stronę, tak że tarcza stała odemnie na południe a ja strzelając tego samego dnia (22. marca) rano

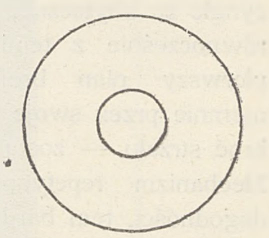
A ponieważ z każdą zmianą oświetlenia zmienia się i położenie kul wystrzelonych zapomocą lunety, przeto luneta w zastosowaniu do sztućca przy strzałach do małego celu, jest nietylko bezużyteczną, ale wprost szkodliwą. Być może, że zboczenie kul wywołane przez zmiany w oświetleniu, nie znaczyłyby tyle przy strzałach do ogromnych przedmiotów; ale my ogromnych nie mamy. Luneta byłaby idealną w zastosowaniu do polowania na różne nasze ostrożne ptaki, jak: dropie, żórawie, gęsi, orly, jastrzębie, byłaby idealną na myszkującego w polu lisa, który już z doświadczenia wie w jakiej odległości trzymać się powinien od ekspresa a niedługo wykombinuje sobie to samo i o manlicherze. Niestety, luneta jest idealną tylko w teoryi a w praktyce do niczego.


Nr. 14


Nr. 15.


Nr. 16


Nr. 17


Nr. 18

Być może, że istnieją gdzieś na świecie fabrykaty, które tych wad optycznych nie posiadają, te jednak cztery lunety niemieckie, z któremi robiłem doświadczenia, zacho-

wywały się wszystkie identycznie. W ostatniej chwili przychodzi mi jeszcze myśl, ażeby do lunety dostosować dwie próżne rury, jedną do soczewki ocznej, drugą do soczewki przedmiotowej. Być może, że gdyby te soczewki ukryte były w głębi tych rur, a przez to samo ochronione od bezpośredniego działania promieni słonecznych, to wtedy rezultat byłby może więcej stałym a nie tak zmiennym, jak dotychczas. Nie omieszkam próby tej zrobić a o rezultacie doniosę czytelnikom „*Łowca*“ w swoim czasie.

Jajkowce, 30. marca 1900.

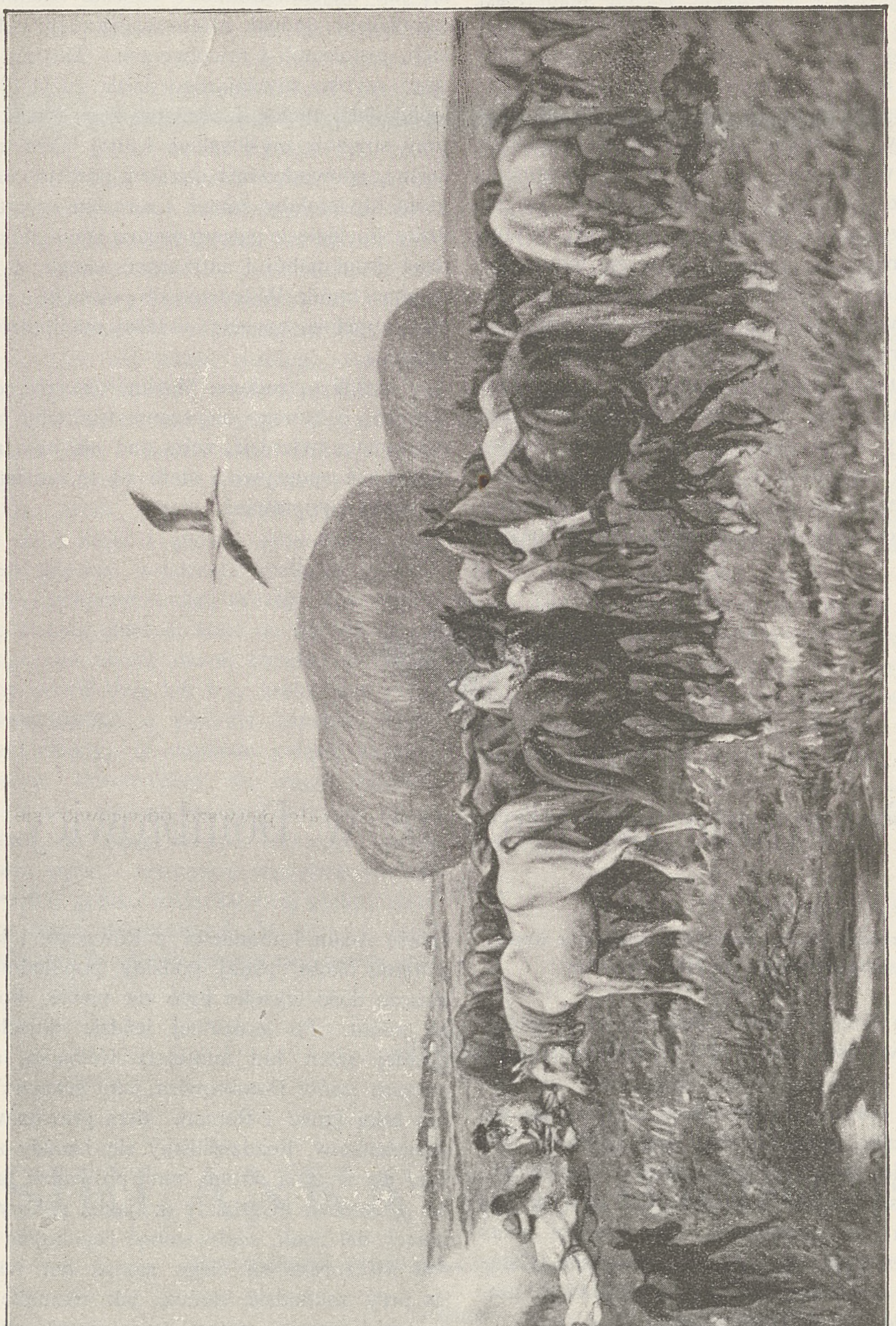
Aleksander Przedrzymirski.

Strzelba przyszłości.

(Według „Mittheilungen des n. ö. Jagdschutzvereines“.

Dobiegłszy do kresu wieku, wypada dla porównania z tem, co wiek przeszły przyniósł nowego, rzucić okiem na zarysowujący się rozwój naszej broni myśliwskiej. Po długiej stagnacyi broń myśliwska osiągnęła w kilku skokach dzisiejsze stadyum swojego rozwoju, a od tego stadyum umysł ludzki poprowadzi jej udoskonalenie po takich drogach, które dadzą nam w rękę idealną broń myśliwską. Wynalezienie zamka, zastosowanie kabzli, która zastąpiła prymitywny sposób zapalania naboju, a w końcu pojawienie się systemu odtylcowego, są to trzy główne etapy rozwoju naszej strzelby, z których dwa ostatnie przypadają na wiek miniony. Na tle tych zasadniczych wynalazków wykonywano rozmaite a ważne często ulepszenia, które króciej lub dłużej się utrzymywały, lub też stanowiły tylko stopień do dalszego rozwoju. Naboje z centralnym podpałem zastąpiły dawniejsze mniej praktyczne naboje — igła zamieniła się na sztyft we wszystkich swoich formach dzisiejszych. Potem nastąpiło wprowadzenie czokborów, a równocześnie prawie rozpowszechniło się używanie systemów bezkurkowych. Za tem poszło rozwiązanie dzisiejsze ejektorów, chociaż nie można powiedzieć, żeby było ono dzisiaj już zupełnie zadowalającem. Łatwe do pojęcia pragnienie zrobienia strzelb naszych lekkiemi, zrobiło je zgrabniejszemi i pod względem formy lepszemi, przyczem jednak dobroć ich ucierpiała, a „kopanie“ na sile zyskało. Tymczasem nie spoczywająca technika wszystkiemi temi zasadami co chwilę wstrząsała, wprowadzając nowe zasadnicze zmiany. Przy dubeltówkach zarzucono jeden zamek, jako zbyteczny, starano się wprowadzić tylko jeden cyngiel dla obu luf, nawet uznano w ogóle cyngle za zbyteczne, zastępując je guzikami. Tymczasem równocześnie z temi wszystkiemi próbami występuje na pierwszy plan broń repetyerową. Dwururka wpływa ujemnie przez swoje jednostronne stałe połączenie na dobroć strzału — została więc w teoryi dawno potępioną. Mechanizm repetyerowy ma pomóc, zaradzić tej niedogodności, tem bardziej, że przedstawia możność dania więcej strzałów, niż dwururka. Pomimo tego mechanizm ten, zastosowany do sztućców kulowych, znalazł wśród kół myśliwskich wątpliwej wartości uznanie — przy broni śrótowej nawet w Ameryce nie dobił się żadnego znaczenia.

Większem, można powiedzieć, rozwojem, niż sama broń, cieszą się środki pomocnicze do strzelania. Łuski nabojowe, wytrzymałe na działanie gazów i wilgoci, kształt i mechaniczny skład śrótu, proch bezdymny, krótko mówiąc wszystkie te niezliczone zmiany przyborów strzelniczych, które po większej części są zdobyczą najnowszej epoki, stoją na pierwszym planie tego ruchu w kierunku polepszenia warunków strzału i wprawiłyby dawnych, niewybrednych pod tym względem posiadaczy kabzlówek w prawdziwe zdumienie. Patrząc na ten rozwój w ulepszeniu wszelkich środków pomocniczych, do strzelania potrzebnych, musimy przyznać, że i nasza śrótówka nie doszła jeszcze do najwyższego stopnia rozwoju, chociaż każdy z nas jest skłonny do mniemania, że ma w ręku broń doskonałą, nad którą lepszej być już nie może. Ale lepsze jest nieprzyjacielem dobrego, jak mówi niemieckie przysłowie. Gdy pierwsze odtylcówki się pojawiły, uważano je za idealny instrument w ręku strzelca — a przecież jak rychło posypały się rozmaite ulepszenia, które broń dzisiejszą uczyniły prawie niepodobną do tych nieudałych prób. Dziś jednak stanęliśmy na tym punkcie, że musimy przyznać, iż ulepszenia w naszej broni choć niewątpliwie wielkie, nie dotrzymują kroku innym produktom ludzkiego ducha wynalazczego. W gruncie rzeczy od lat 50 broń myśliwska nasza nie uległa zasadniczej zmianie — system Lankastra, zasadzający się na łamaniu strzelby, do dziś dnia jest właściwie jedynym systemem przy śrótówkach używanym. Rzadko kiedy ważniejszy jakiś wynalazek występuje bezpośrednio — zwykle wyprzedzają go wynalazki z tej samej dziedziny, lecz mniej ważne — nie jest jednak wykluczonem, że może niedługo pojawi się jakaś myśl, która nasz dzisiejszy system broni i amunicyi myśliwskiej odrazu wywróci. Bronią przyszłości powinnaby być w każdym razie broń repetyerowa — naturalnie bez tych braków i wad, które się teraz z jej pojęciem łączą. Dzisiejszej broni repetyerowej nie udało się do dnia dzisiejszego usunąć dotychczasowego systemu, bo jest ona jeszcze w stadyum początkowem swego rozwoju. Największa część dzisiaj używanych, a właściwie doświadczonych śrótówek repetyerowych opiera się na system winczesterowskim, który nietylko, że jest niesympatycznym, ale posiada jeszcze bardzo wiele niewygodnych a nawet niebezpiecznych błędów. W dzisiejszej swej formie potrzebuje przedewszystkiem strzelba systemu repetyerowego bardzo dużo ćwiczenia i wprawy, żeby można było z niej szybko strzelać. Mianowicie nigdy nie można tak szybko dać dwóch strzałów jeden po drugim, jak z naszej dotychczasowej dubeltówki. Przy manipulacyi wyrzucenia wystrzelonego naboju trzeba bardzo wielkiego



J. Kossak. — Na pastwisku.

wysiłku fizycznego, strzelba bowiem taka nie jest wygodną do trzymania w czasie szamotania się z nią. Drugim błędem jest to, że po każdym strzale zmienia się waga strzelby. W końcu należy i na to zwrócić uwagę, że magazyn strzelb repetyerowych leży przeważnie pod lufą, że naboje leżą jeden nad drugim, i że przez kilka strzałów, szybko po sobie następujących, sprowadzone rozgrzanie lufy i wstrząśnienia mogą się przyczynić do eksplozyi tych nabojów. Pomimo twierdzenia, że podobna rzecz nigdy się nie wydarzyła, nie jest to wykluczonem.

W każdym razie wszystkie te niedogodności nie zalecają strzelb repertyerowych dzisiejszego systemu. Wynalazcy muszą się zwrócić ku poszukiwaniu za innym systemem, któryby główne momenty dotychczasowego mechanizmu repetyerowego pominął, a nowe stworzył. System repetyerowy przyszłości powinien wszelkie czynności, potrzebne do nabijania, otwierania, zamykania i naciągania, załatwiać automatycznie. Uderzenie na tylną część komory, jakie pierwszy strzał sprawi, powinno być motorem, który powinien wszystkie te czynności załatwić, aby funkcyonowanie repetyerowego mechanizmu na należyte wprowadzić tory. Uderzenie to, które dziś daje się naszemu ramieniu odczuwać, jest do tej chwili niewykorzystanem i zatraca się bez żadnej korzyści, sprawia zaś tylko nieprzyjemne uczucie. Zużytkować to źródło siły starano się już niejednokrotnie i chociaż zadania całkowicie nie rozwiązano, jednak zastosowano zużycie tej siły przy działach, pistoletach i rewolwerach. Maxim, wynalazca znanego szybko strzelającego działa, zużył tę siłę jeszcze najlepiej jako motor i zamierza zastosować swój wynalazek przy strzelbie myśliwskiej. I tutaj także uderzenie na tylną ścianę, spowodowane strzałem powinno naciągać sprężynę, która otwierałaby zamek i zarazem wyrzucała wystrzeloną łuskę. Pociśnięcie palcem wskazującym na guzik ma wprowadzać drugi nabój i zatrzasnąć zamek, a równocześnie naciągnąć kurek. W ten sposób pociśnięcie palcem wystarczyłoby zupełnie, czyniąc wszelką manipulacyę zupełnie zbyteczną.

Jeżeli to zadanie Maxim rozwiąże, osiągniętoby ideał strzelby, o którego ulepszeniu trudnoby było myśleć, choć nie można twierdzić, żeby ono nie było możliwe, bo duch ludzki nie spoczywa i stara się to, co istnieje, ustawicznie ulepszać i poprawiać.

Polowanie na głuszcze w Dombrowicy.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego źródła, do jądra gęstwiny?

Prześliczny ten wiersz Adama Mickiewicza przyszedł mi na myśl, kiedy w księżycową noc wyczekiwałem, aż głuszec swoją pieśń zacznie śpiewać. Kto nigdy nie polował na głuszce w poleskich i litewskich borach, ten sobie nie wyobrazi uroku, jakie to polowanie sprawia. Naturalnie odzywam się tutaj do prawdziwych myśliwych, do tych, co myśliwstwo łączą z poezyą. Od dawna pragnąłem polować na toki głuszczów, lecz zawsze jakaś nieprzewidziana przeszkoda stała mi na zawadzie. Ostatecznie tej wiosny wybrałem się do Dombrowicy, majątku mego krewnego, hr. Wiktora Platera.

Otrzymawszy telegram: „Głuszcze tokują, przyjeżdżaj“, zapakowałem rzeczy i strzelbę do futerału i jazda na kolej. Ogromny obszar lasów Dombrowicy leży właściwie na Wołyniu nad Horyniem, lecz dotyka do Litwy, cecha jego jest już zupełnie taka, jaką ją Mickiewicz w Panu Tadeuszu opisuje.

Polowania na te piękne ptaki były już nieraz opisywane przez pióra zdolniejsze, aniżeli moje, lecz mam nadzieję, że czytelników moich i kolegów myśliwskich nie znudzę ich opisaniem. Polowanie to dzieli się na dwa epizody, na zapad i na właściwe toki; zapad odbywa się wieczorem przy zachodzie słońca, toki, ledwo brzask na niebie się ukaże. Służba leśna w Dombrowicy jest znakomicie obeznaną, wie doskonale, jak się na głuszce poluje i gdzie one przebywają. Było nas dwóch myśliwych: książę Adam Lubomirski z Równego, i ja; wyjechaliśmy z domu około piątej godziny popołudniu, kiedy słońce jeszcze dość wysoko było na niebie, bo do lasu blisko 15 minut. Po godzinnej jeździe dojechaliśmy do knieci, zwanej przez lud tamtejszy Kolbanią, a figurującej na planach lasów Dombrowica, jako sekcya V. Oczekiwali na nas leśni Ignac i Roman, dwa prawdziwe typy poleskich mieszkańców. Rozdzieliliśmy się, i każdy ze swoim leśnym udał się w inną stronę, mnie prowadził Ignacy, specyalista do głuszców. Uszliśmy z jakie półtory wiorsty, potem Ignacy dał znak, ażeby stanąć i spokojnie czekać. Kto bywał wieczorem na ciągu słonek ten wie, jaki urok ma las przy zachodzie słońca, jak rozmaite ptaki śpiewają, najprzód wesoło, potem coraz ciszej, aż zupełnie ustaną. Już było słońce zaszło, kiedy raptem o jakie sto kroków odemnie usłyszałem gwałtowne i silne trzepotanie skrzydeł i wielka czarna masa usiadła na samym prawie szczycie niebotycznej sosny. Na strzał był głuszec za daleko, chciałem posunąć się naprzód, lecz przezorny Ignacy chwycił mnie za ramię i nie pozwolił się ruszyć. Po chwili usłyszałem hałas, jakby kto korek od butelki otwierał, powtórzyło się to kilka razy, było to preludyum do pieśni, w czasie tego, jest głuszec niesłychanie czujnym i posuwać się ku niemu nie trzeba. Pobełkotał kilka razy, lecz nie raczył tokować. Tymczem zrobiła się noc całkowita, cichutko stąpając, oddaliliśmy się od głuszca i powróciliśmy do bryczki. Ignacy zaręczał mi, że głuszec przez całą noc się nie ruszy, i jutro przed wschodem słońca strzelać go będę.

Godzinę później siedzieliśmy przy kolacyi i rozpowiadali sobie, jak to jutro będzie. Obudzono nas około godziny drugiej w nocy i jazda do lasu. Noc była jeszcze zupełna, księżyc tylko przyświecał przez lekkie chmury kiedyśmy dojechali do miejsca, gdzie na nas oczekiwali Ignac i Roman, którzy się przy dużem ognisku ogrzewali. Rozeszliśmy się i każdy ze swoim mentorem udał się w przeciwne strony. Ignacy prowadził mnie w ciemnościach lasu prawie pół godziny, potem stanął i prosił stać cicho i nic się nie ruszać. W lesie wszystko spało, cisza zupełna, czasem tylko gdzieś sowa zahuczała, wtem usłyszałem jakieś silne stąpanie niedaleko nas, „to pewnie łoś“ szepnął Ignac. Potem znów cisza. Po chwili dało się słyszeć szurganie po krzakach. „To dziki żerują, ich tu bardzo dużo,“ rzekł Ignac po cichu. Tymczasem na niebie zaczęło szarzeć, widocznie już brzask niedługo, odezwała się w dali orkiestra żórawi, słychać przelatujące dzikie kaczki. Ignacy wziął mnie pod ramię i szepnął: „już gra“. Ja jeszcze nic nie słyszałem i podziwiałem nadzwyczajny słuch tego syna poleskich borów. Prowadzony przez Ignacego zrobiliśmy dwa duże kroki, potem stanęli nieruchomo, po chwili znowu dwa kroki i znowu spokojnie stanęli. Nakoniec usłyszałem głuszca, z początku bełkotał powoli, potem coraz prędzej, nakoniec zaczął syczeć, ten ostatni odgłos nazywa się pieśnią głuszca, staje on się wtedy zupełnie głuchy i ślepy, nie słyszy nawet strzału, krótko to trwa, można jednak zrobić dwa lub trzy kroki. Jak pieśń swoją skończy, trzeba stanąć w pozycyi zupełnie nieruchomej, ptak to taki czujny, że złamanie gałązki wystarczy, żeby go spłoszyć. Posuwaliśmy się ciągle naprzód, serce mi biło gwałtownie, emocya wielka, nakoniec ujrzałem głuszca. Siedział na gałęzi bardzo wysokiej sosny, prawie u wierzchołka tejże i wyprawiał najdziwaczniejsze ewolucye, biegał wzdłuż gałęzi, roztaczał swój piękny ogon iak jaki wachlarz, szyję wyprostował do góry i nucił swoją pieśń. Teraz przyszła chwila stanowcza, trzeba spokoju i zimnej krwi, niebezpiecznie składać się zawcześnie do strzału, był on daleko jeszcze i wysoko, spuściłem się jednak na dobroć mej strzelby zmierzyłem i strzeliłem. Zatrzepotał się na drzewie i z hałasem uderzając skrzydłami po gałęziach, padł na ziemię, która aż zadudniła. „Teraz już nasz“, zawołał Ignacy i galopem puścił się ku niemu. Był to bardzo piękny stary kogut, ważył 12 i pół funta, będzie on piękną ozdobą mego myśliwskiego pokoju w Ossowcach. Podniosłszy naszą zdobycz, zaczęliśmy powracać do miejsca, gdzieśmy konie zostawili, słuchając uważnie, czy gdzie drugi głuszec nie tokuje, lecz wszędzie cicho, słychać tylko w dali dalszy ciąg orkiestry żórawiej, przebudzone ptaszki zaczynają szczebiotać i gwizdać, gdzieś pod chmurami zahuczał bekas, wtem padł niedaleko nas strzał, był to strzał mego towarzysza, któremu również udało się zabić pięknego koguta. Wkrótce spotkaliśmy się i powinszowawszy sobie nawzajem, siedliśmy do bryczki, i z wesołym humorem powróciliśmy do domu. W lasach Dombrowicy jest dużo głuszców, słynie ona w okolicy, jako miejsce, gdzie najlepsze polowanie na te piękne ptaki. Dużo jest tam także dzików i łosi, te ostatnie bardzo pielęgnowane przez właściciela. Powiadają, że ich jest do stu sztuk. Polowaliśmy na nie zeszłej jesieni, lecz nie przyszedłem do strzału, z daleka tylko jednego widziałem, jak wielkim susem linię przesadził — zwierz to bardzo ostrożny. Nazajutrz rano pojechałem znowu do lasu i udało mi się drugiego głuszca zabić, w równie romantycznych okolicznościach. Niestety zbliżające się święta Wielkanocne nie pozwoliły mi dłużej zabawić, musiałem jechać na kolej i do domu, mówiąc sobie w duchu, że jak Pan Bóg pozwoli, to na rok przyszły na te piękne polowanie nie omieszkam przyjechać.

Ossowce, 20. kwietnia 1900.

Aleksander hr. Potocki.

„SIELANKA MŁODOŚCI“.

(Spowiedź starzejącego się kawalera)

napisał

Albert Mniszek.

Prześliczną jest moja kuzynka! Pięć lat jej nie widziałem. Z płochego małego motyla, wyrosła słuszna, smukła, powabna, o złotych włosach i cudnem modrem oku dziewica. Młodziutkie to jeszcze, jak pączek ta Andzia! Ośmnasta wiosna! Prawdziwy maj w jej licu, oku, w jej smukłej kibici! A ile życia, ognia! Przed kilku laty przyjechawszy na koniec mych uniwersyteckich feryi na kilka dni do Daszowa do wujowstwa, a jej rodziców, oniemiałem z podziwu i zachwytu! Czemuż nie przyjechałem dwa tygodnie temu?! Oh, te przeklęte polowania! Dziećmi bawiliśmy się razem, łowiliśmy razem motyle, jeździliśmy kucami, a jako cztery lata starszy od niej, rej wodziłem w każdej zabawie. Co za szalona zmiana dzisiaj! Jestem onieśmielony zupełnie, ale i ona także. Nie pocałowaliśmy się, nawet nie mówimy sobie: ty, ale kuzynko, kuzynku. Tak pozostać jednak nie może! Muszę siebie, a później Andzię rozkrochmalić!

Na drugi dzień w Daszowie większe zebranie. Całe sąsiedztwo się zjechało. Uważam, że młodzi sąsiedzi dobrze już Andzi nadskakują, a sąsiedzkie mamy słodko na moją ciotkę patrzą! Widzę te manewry, jak na dłoni. Gniew mnie porywał, miałbym był ochotę pokazać im

figę! Przecież dziećmi obiecaliśmy sobie kiedyś się pobrać a i rodzice nasi sobie tego życzą. Jesteśmy sobie cioteczno cioteczni! Dobrze, że ja tak teraz kalkuluję, ale czy Andzia nie zapomniała o naszych dziecinnych obietnicach i przysięgach? Trzeba ją wybadać. Jest grzeczną dla wszystkich jednakowo, ale mnie wyróżnia, jako kuzyna, serdecznością, nic dziwnego. Bawi mnie to, jak okoliczni wąsacze i hreczkosieje ze strachem i złością na mnie patrzą. Nie pomoże wam nic! Andzia, to smaczny byłby dla was kąsek, bo ładna i młoda, a jedynaczka, i posażek więcej niż szlachecki! Wyrwę wam ten kąsek z przed nosa i żebyście się oblizywali, huczne sprawimy wesele i was na nie zaprosimy.

Jutro polowanie w pobliskiej kniejce. Daszów słynie z wielkiej ilości zwierzyny. Gdyby nie to, byłbym i wczoraj nie przyjechał! Dużo jest pań, które nam będą towarzyszyć w łowach. Będziemy ciągnąć losy, kto z kim ma stać na stanowisku. Rozpacz mnie porywa na myśl, że znajdę się *tête à tête* z jakąś panną Hreczkowską lub Owsińską, która na dobitek zechce jeszcze być romantyczną a moja Andzia pójdzie z panem Hreczkowskim, który jest tak pięknym, że w każdą bajurkę na drodze zagląda, by w niej choć na chwilę siebie zobaczyć, lub z panem Owsińskim, który ją bawić będzie tem, jaki z niego gospodarz, ile wołów wypasł na gorzelni, lub który nawóz najlepszy. A jeżeli mi wypadnie zaprowadzić na stanowisko młodą obecną tu wdówkę panią Kanarkowską... przepadłem, jak ruda mysz! Zechce zapewne odegrać przy mnie rolę Telimeny, a w daszowskim lesie mnóstwo mrówek!... Nie! trzeba temu przeszkodzić i użyć podstępu! Andzia ma spisać nazwiska pań na kartkach, pozawijać je w trąbki i dać nam do losowania przed wyjazdem na polowanie. Darmo tłumaczyłem ciotce, że lepiej będzie i weselej, jeżeli każdy poprowadzi, kogo sobie wybierze. Nic z tego! Była niewzruszona. Poszedłem do Andzi.

„Zrób tak kuzyneczko, byśmy jutro razem stać mogli!“ „Ależ to niemożliwe! Los rozstrzygnie“ „Zresztą“, dodała z przekąsem i spuszczając oczy, „gdyby kuzynkowi na mojem towarzystwie choć troche zależało, byłby przyjechał do nas nie wczoraj, lecz kilka tygodni temu“.

Myślałem, że padnę do nóg kochanej dziewczynie. Więc zależało jej na mnie i ma żal, żem tak późno przyjechał!

„Przebacz kuzynko“, rzekłem jej czule, „alem nie przypuszczał kogo tu zastanę! Zostawiłem cię ledwie formującym się pączkiem, a zastaję cię różą, o cudownej woni i blasku! Ach Andziu! gdybym był przeczuł!... Te przeklęte polowania mnie kiedyś zgubią!“

„Kuzynek, by naprawić grzeszki, bawi się teraz w komplementy“, zawołała śmiejąc się Andzia i pobiegła do innych pokoi, by coś jeszcze na jutro przygotować.

Nazajutrz na wyjezdnem, ciągnęliśmy losy. Zauważyłem, że Andzia, podając nam koszyczek, wielkim paluszkiem przyciskała jedną z kartek. Popatrzyłem jej w oczy i zrozumiałem! Ruchem dzikiego kota rzuciłem się na papierek i wyrwałem go już komuś z palców! Rozwinąłem... Andzia na dzisiaj moja! Będę z nią sam na sam, wybadam, wypytam, a że egzamin zdawał się być z góry dla mnie korzystnym, zakpię sobie dziś jeszcze z wszystkich sąsiedzkich dandysów i ich mam z podbródkami!

Do lasu idziemy pieszo, bo blisko.

Koniec września. Śliczna polska jesień panuje w całym blasku i swym czarownym pędzlem ubarwia już lasy w kolor złota i purpury. Niezmierzone podolskie ściernie odbijają od świeżo posianych szmaragdowych ozimin. W dole na zżółkłej łączce dyszy i wężem goni wezbrany strumyk. W górze niezmierna toń bladego lazuru, siwa na widnokręgu, oświetlona słonecznym blaskiem. W powietrzu płynie gęsta ruń pajęcza i świat cały zdaje się być przykrytym cienkim i nieuchwytnym welonem, tkanym ze srebra i złota!

Las jeszcze pełen życia. Ptactwo nie opuściło go jeszcze. Rozhowor skrzydlaczy miesza się z szumem drzew i szmerem spadającego wciąż liścia. Dzięcioł sztuka zapamiętale w spróchniały pień dęba, jakby wybijał takt całej powszechnej orkiestrze przyrody.

Psy spuszczone ze sfór, zaczęły już gonić. Andzia siedzi przedemną na myśliwskiem krzesełku, ja stoję za nią i podziwiam ja w zachwycie. Wydaje mi się drogą i strasznie kochaną. Jasne, bogate, zakryte kapelusikiem włosy, odkrywają szyję cudną, białą, przykrytą jakby złotym puszkiem. Nie mogłem ustać cicho.

„Andziu“, szepnąłem.

„Co, kuzynku“ ?

„Dlaczego nie mówisz mi „ty ?“

„Nie śmiem“.

„To ja ośmielę!“

„W jaki sposób?“

„Ot w taki“ — i to rzekłszy, schyliłem się znienacka i pocałowałem w tę złotawą szyjkę. Andzia nie spodziewając się takiego sposobu ośmielania, pochyliła się lekko naprzód, odwróciła się trochę do mnie i rzekła z wyrzutem, ale zarumieniona i szczęśliwa.

„Andrzeju!“

Klęknąłem przy niej.

„Czy pamiętasz nasze dziecinne zabawy — mówiłem — gdyśmy grali w piłkę, lub goniliśmy motyle? Czy pamiętasz nasze plany dziecinne, gdym ze szkół przyjeżdżał, a tyś była pączkiem majowego kwiatu? Czy chcesz to pamiętać? Bo ja ten sam, twój dawny Andrzej, kocham cię całą duszą, tyś mojem życiem, gwiazdką moją, tyś mi droższa, jak świat, najlepsza i najpiękniejsza... i dziwię się tylko, że kwiaty pod twemi stopami nie rosną, złoty mój ptaszku skrzydlaty, ty raju, ty maju, ty wiosno!... Tylko Płoszowski zgubił swą Anielkę i siebie, a ja ci pokażę, co jest życie, co świat, co może miłość“.

A ona szczęśliwa, rozpromieniona, jak dobry geniusz, z jakimś nadziemskim wyrazem w oczach, schyliła ku mnie swą piękną główkę i szepnęła prawie niedosłyszalnie:

„Mój ty najdroższy“.

Wtedy zapomniałem o wszystkiem!... całowałem te złote kędziory, te lazurowe, jak niebo nad nami, oczy, te cudne lice, ssałem miód z ust jej korali i nikt nas nie widział!... Tylko tam, z góry, z nad chmur i gwiazd, patrzył Bóg na nasze uczucie, tak czyste, jak śnieg na szczytach Tatr lub dno górskiego strumienia i błogosławił naszej miłości! A więcej nikt nas nie widział! Tylko gil o czerwonym brzuszku, na gałązce się ważąc, śwista z cicha i patrzył na nas czarnemi oczkami. A wiatr szumiał i strącał z gałęzi wciąż liście. Na niebieskiej bezdni zarysował się na południe płynący klucz żórawi. Ich żałośne wołania zdziwiły drobnych skrzydlaczy. Gil przestał świstać, sojki się kłócić, dzięcioł nie pukał już w drzewo.

Wtem padł strzał jeden i drugi — wstrząsnął powietrzem i nas zbudził z rozkosznego półsnu. Chwyciłem za broń, stanąłem za Andzią, widziałem jak w mgle, przebiegającego koło mnie lisa, jednego, drugiego — strzelałem i chybiałem.

Polowanie miało się ku końcowi. Trąbki zagrały, psy przestały gonić. Wróciliśmy do domu.

Tego dnia nie zapomnę nigdy.

Wieczór tańczyliśmy dużo, ale pomówić z Andzią sam na sam nie mogłem.

Nazajutrz wyjechałem na polowanie w sąsiedztwo, mając zamiar wieczorem wrócić, tembardziej, że od mego wyjazdu, dzieliły mnie tylko dwa dni. Po polowaniu, gdy już miałem wracać do Daszowa, pokazał mi gospodarz list przed chwilą od swego sąsiada otrzymany, z zaproszeniem nas wszystkich do niego na jutro na wilki. „Mam pewne dwa gniazda w małej kniejce, zamkniemy je sieciami i wybijemy do nogi“, — kończył się ów list nieszczęsny.

Pokusa była za silną! pojechałem na wilki, polowaliśmy na nie dwa dni — ani nawet żadnego nie widziałem!

Z bijącem niepokojem sercem wracałem do Daszowa... Nie zastałem nikogo! Wujowstwo z Andzią wyjechali w nagłej sprawie do Kijowa. Służba oddała mi kartkę, na której ręką wuja skreślone były słowa: „Jesteś pędziwiatr i nic z ciebie nie będzie“. Stary kamerdyner opowiadał mi, że panienka, wyjeżdżając, bardzo płakała.

A tom się spisał! Miałem ochotę kazać się rozciągnąć i dać sobie dwadzieścia pięć kijów. Z bezdenną rozpaczą w sercu wyjeżdżałem z Daszowa!

Już kilka lat mija od wyżej tu opisanych wypadków. Andzia jest żoną pana Owsińskiego i matką czterech już tęgich chłopaków, ja starzejącym się już kawalerem. Mogłem jeszcze dwa razy się ożenić. Nieszczęście jednak, czy też szczęście chciało, że właśnie, gdy miałem jechać już „na gotowe“ się oświadczyć, sąsiad mój miał cztery otropione dziki; pojechałem więc do niego i trzy dni polowałem, a wróciwszy do domu zastałem list od mojej niedoszłej teściowej z radą, bym sobie dalej polował. Raz znowu przez słonki się nie ożeniłem, kiedyś indziej to opowiem. I pozostanę już starym kawalerem! poluję zawzięcie — jestem wolny, jak ptak, choć stary i bez trosk! Posagów dla córek składać nie potrzebuję, ani za synów długów nie płacę! Jest mi dobrze na świecie!

A jednak jest coś, czego mi w mem życiu brakuje, jest jakaś niczem nie dająca zapełnić się próżnia, jest jakaś struna co brzmi fałszywie......

Za Andzią mi żal! . . . . nie jeżdżę nigdy do Owsińskich.

TATARSKA SOBAKA.

Zaledwie pierwsze tchnienia wiosny nastąpią, ledwie znikną śniegi i puszczą rzeki lodową powłokę, już na błotach i moczarach, jeszcze zupełnie nieodtajałych, pojawiają się czajki. Żałośne, urywane krzyki rozlegają się od świtu w powietrzu, a często i w nocy słychać silny, charakterystyczny szum skrzydeł i płaczliwe nawoływania „kihy, kihy, kiiihy“. Rzec można, że czajki płaczą nad swą dolą i skarżą się na głód i zimno. Na skrzepłych błotach nie znajdują żywności, zimno dokucza, to też kręcą się bez ustanku, kwiląc żałośnie. Tęsknią może za krajem słonecznym, skąd niedawno przybyły do martwych i jeszcze chłodnych pieleszy.

Z początkiem kwietnia, skoro się tylko ociepli, zagospodarowują się jednak na błotach na dobre; spieszno im bardzo, by dochować się zawczasu potomstwa, to też nie pytając, czy wiosna już się ustaliła, czy będzie dalej ciepło, samice składają na gołej ziemi, zwykle na kępinach, po 4 do 6 jaj, z których po trzech tygodniach wylęgają się młode.

Czajki są bardzo przywiązane do swoich gniazd i potomstwa; gdy ktokolwiek zbliży się na błota, na których się lęgną, zlatują się z krzykiem i bez ustanku krążą nad głową niemiłego gościa. Starają się tak mu dokuczyć swoim żałośnym kwileniem, aby się ustąpił jak najprędzej. Manewrują na wszystkie sposoby, aby odwrócić uwagę od miejsc, w których są gniazda lub młode. Gdy człowiek nie ma ze sobą strzelby, napastują go natarczywiej, tak, że prawie skrzydłami dotykają głowy. Psy w pobliżu gniazd prześladują zawzięcie, kręcąc się tuż przed niemi kwilą bezustannie i zapadając co moment w pobliżu, starają się by, je w inną odciągnąć stronę. Chociaż młode podrosną i latają już dobrze, to jednak czajki każdego przybysza na błota witają krzykiem a psa atakują bezustannie. Gdy jednak w jesieni połączą się w stada, wtedy zaprzestają krzyków, uciekają od człowieka jak najdalej, a psu pozwalają spokojnie chodzić po błotach.

Przed kilkunastu laty wybrałem się na podloty na błota w Rawskiem. Pyszne w te czasy były polowania błotne w okolicy Wólki Morawieckiej i Kamionki nad Rabą. Dziś już *nec locus ubi Troia.* Błota osuszono a ptactwa z roku na rok mniej. Wtedy jeszcze po ługach i tylko zimą dostępnych trzęsawiskach gnieździło się tysiące kaczek, podmokłe lasy olchowe, poprzerzynane setkami strug, dawały wygodne schronienie błotnemu ptactwu. Nad owemi błotami uwijała się moc czajek, a krzyki ich żałośne bezustannie słychać było daleko. To też gdym tylko z psem ukazał się na błotach, zleciały się ich chmury, opadły psa i prześladowały go bez ustanku. Chłop miejscowy, którego wziąłem ze sobą za przewodnika, zwrócił się ku mnie i rzekł: „Byjte, pane, tu tatarsku sobaku“. Zastanowiły mię te słowa, zapytany, by mi wyjaśnił dlaczego tak czajki nazywa, odpowiedział mi tak: „Dawno to bardzo dawno, jeszcze jak Polszcza panowała, na kraj nasz napadali tatary. Prawie każdej wiosny, gdy już trawy do-

brze się zazieleniły, wyłaziło to plugawe pohane plemię ze swoich zimowych leży, by palić i rabować wsie a ludność gonić w jasyr. Gdy na wiosnę ujrzano łuny od wschodu, pewny był to znak, że czambuły buszują już w okolicy, wtedy ludność wioski wyganiała czemprędzej konie i bydło na niedostępną wysepkę pośród olszowego lasu na bagnach, którą do dziś zwą Kościakiem, a to dlatego, że mnóstwo tam kości bydlęcych leży, bydło bowiem trzymane dłuższy nieraz czas na małej wysepce, ginęło z głodu. Dostęp do tej wysepki był możliwy tylko korytem rzeki, po obu bowiem stronach tejże ciągnęły się trzęsawiska i bagna, dno jednak rzeki było twarde i piaszczyste. Mieszkańcy wioski pozostali w chatach czekali ze strachem przybycia pohańców, często alarm okazał się mylnym, ale zwykle nie zawodziły znaki, po których poznawano najście wroga. Gdy tatarzy zbliżyli się już na pewno, wtedy ludność wioski uciekała na błota, które tuż ciągnęły się wzdłuż całej osady. Kryjac się tam w trawach i oczeretach, czekała ludność ustąpienia wroga, nie prędko to jednak następowało. Tatarzy spaliwszy wieś nie dawali za wygranę. Pieszo puszczali się na bagna, by szukać brańców i tu im przeklęte czajki przychodziły z pomocą.

Już zdala mogli widzieć tatarzy, gdzie się nieszczęśni ukrywają nad głowami bowiem drżących ze strachu, przypadłych do mokrej ziemi, unosiły się z krzykiem czajki, jakby umyślnie nawołując czemprędzej okrutnych najezdców.

Tatarzy szli więc na pewne w to miejsce, nad któremi z krzykiem krążyło ptactwo, a otoczywszy dokoła kryjówkę, wyciągali na arkanach jeńców do obozu. Jaki taki szedł samopas po błotach a idąc na głos czajek trafiał na swą ofiarę ukrytą w trawie, którą niebawem wyciągał do brzegu i oddawał w ręce czekających nań towarzyszy. Od tych to czasów ludność miejscowa znienawidziła ptaka, który ukrytych wydawał na łup wroga, zdradzając swym krzykiem bezpieczne kryjówki. Z tego to powodu czajki dostały nazwę „psów tatarskich“.

Kotuzów, dnia 26. marca 1900.

Leon Starkiewicz.

KORESPONDENCYE.

Dublany, 12. marca 1900.

Szanowna Redakcyo!

Proszę o umieszczenie w *„Łowcu“* sprawozdanie z następujących polowań:

Dnia 15. stycznia odbyło się polowanie w Krogulcu, u p. Bronisława Lastowieckiego. W 9 strzelb ubiliśmy 54 zajęcy i rogacza; prócz tego strzelano do lisa i 2 rogaczy, ale bezskutecznie. Królem polowania był p. K. Horodyski, który zabił 12 zajęcy. W Krogulcu przekonać się można do czego prowadzi racyonalna gospodarka łowiecka. Przed czterema laty ubito zaledwie 8 zajęcy, na przyszły rok padnie niezawodnie do stu, jeżeli będziemy dobrze strzelać i jeżeli spóźnione teraźniejsze mrozy nie poczyniły wielkich szkód w zajęczym rodzie.

Dnia 16. stycznia polowaliśmy w 9 strzelb w Suchodole, gdzie trzyma polowanie p. Bronisław Łastowiecki. I tutaj podobnie jak w Krogulcu rezultat był pomyślny, gdyż na rozkładzie znalazło się 56 zajęcy, lis i kozioł. Ile zaś padło strzałów, to chyba sekretarz św. Huberta w annalach łowieckich zapisał, bo nam trudno się było dorachować; na usprawiedliwienie jednak tak gęstej kanonady dodać wypada, że strzelanie w Suchodole z powodu gęstych zapustów a wązkich linii, aczkolwiek bardzo ładne, to niemniej jest trudne. I tutaj jak zwykle królował p. K. Horodyski, zabiwszy lisa i 13 zajęcy.

Na zakończenie sezonu myśliwskiego polowaliśmy, w 15 strzelb u p. Adama Tretera w Laszkach królewskich. Pomimo wiosennej aury i majowego deszczyku, który rosił do południa, padło 57 zajęcy i rogacz. Szczególnie ładnym był ostatni kociołek, z którego nagonka wyniosła 22 zające. Po polowaniu i po prawdziwie staropolskiej uczcie, odbyły się tany, które przeciągnęły się do białego dnia.

Wróciwszy do Dublan powiesiłem strzelbę na kołku, by w czasie ogórkowym patrzeć się na tego, obecnie oniemiałego, świadka moich rozkoszy myśliwskich i cieszyć się na sezon polowań letnich. *Dublańczyk.*

Batiatycze, 6. września 1900.

Słońce zaświeciło i cieplej, a jakoś smutno na błotach, ptactwa bardzo mało, słonkę ledwie jednę na całym ciągu usłyszeć można było, nawet bocianów mało. W lesie po śniegu, który jeszcze miejscami do dziś leży, można poznać małe tropy młodych zajączków i to po kilka rarem, jednak na polu znachodzą w kopach nawozu zimomowego zmarznięte małe zajączki.

Co do stosunków naszych łowieckich status quo pozostał po dziś, jeden Bóg karze kłusowników. Jeden strzelał 27. marca do zajaca, a łapiąc go postrzelonego zabił się z drugiej lufy na miejscu. Było to w Dalniczu. Z drugim z łaski bożej spotkał się podpisany w Tołmaczu.

Lecz cóż to znaczy, gdy w okolicznych wsiach, bezpańskich, wszystko ma broń, a nawet odtylcową.

Cietrzewie zaczęły tokować, ale prawie na niedostępnych błotach, stosunkowo jest bardzo dużo kogutów.

Kuropatwy bardzo dobrze przezimowały, szczególnie ogrodowe, na jesień nadzieja chyba pewna.

Teraz odbywają się licytacye w powiecie żółkiewskim i ceny o kilkakrotną wartość się podniosły.

Włóczą się 2 wilki, lecz pomimo różnych możebnych praktyk myśliwskich po dziś cieszą się zdrowiem, ale że wszystko ma swój koniec, przyjdzie kolej i na wilczury, a tymczasem koniec mych doniesień.

Tadeusz Romanowski, delegat żółkiewski.

Nuszcze, 5. kwietnia 1900.

Dnia 4. kwietnia wieczór ubiłem pierwszą słonkę. Na ciąg jechałem sankami. Jest tu gruba warstwa śniegu do 10 cali. Pierwszą słonkę widziałem 28. marca. Słonki wcale nie wabią, tylko lecą cicho i zapadają na miejsca, gdzie woda stoi. Widzianych było już kilka.

Mówi przysłowie: kto z radości skacze, to potem płacze, tak jest i u nas. Po świetnie udanem, tegorocznem polowaniu, serce się radowało, gdy się jechało przez las, bo się od saren formalnie roiło a między rudlami pełno rogaczy. Nikt byłby nie przypuścił, że przed kilkoma dniami był tak piękny rozkład. Ale za trzy tygodnie radość znikła, bo młode roczne rogacze zaczęły ginąć bardzo szybko. Dotychczas znaleziono 11 rogaczy i 10 kóz, a ile w gąszczach, gdzie śnieg przesypał? Jednem słowem sarny zrzadły i na rok przyszły nie wielka nadzieja. Karmi się dosyć nawet teraz. Przyczyny ginięcia sarn trudno dociec, tylko że są bardzo chude. Istną plagą są tu psy włościańskie ze wsi sąsiednich, a to z Kruhowa, Iwaczowa i Wołczkowiec, z którymi rady sobie dać nie można, a skarga do wójta nic nie pomaga, zresztą za to nikt i nikogo nie pociąga do odpowiedzialności. O dalszej klęsce sarn i ciągu słonek doniosę.

Adolf Korpak, leśnik.

Lwów, 5. kwietnia 1900.

Korespondencya delegata podhajeckiego, p. Kazimiemierza Gołębskiego, zamieszczona w numerze „*Łowca*“ z 1. kwietnia b. r., zniewala mnie do zabrania głosu.

Dyskusya w poruszonych przez p. Gołębskiego kwestyach wydaje mi się konieczną nietylko dlatego, że z wywodami szanownego autora niezupełnie się zgadzam, ale także dlatego, że wobec wielu niejasności nowej ustawy łowieckiej, trzeba koniecznie, już w pierwszych latach po jej wprowadzeniu, utrzeć praktyką to wszystko, co dla łowiectwa jest korzystnem i co bez wątpienia ustawą zamierzano, a co w jej brzmieniu mgliste i niejasne ma brzmienie, dając szerokie pole nieporozumieniom i błędnemu pojmowaniu ustawy przy jej wykonaniu.

I. Wychodząc z tego założenia, uważać muszę za błąd w wykonaniu ustawy łowieckiej, jeżeli uprawniony do polowania, rezygnuje na swojem terytoryum z wykonania praw nabytych, a nową ustawą łowiecką zagwarantowanych, a taką rezygnacyą są wywody szanownego autora na temat psów, a powiedzmy od razu i kotów włościańskich.

Szanowny autor stanął na tem stanowisku, że ustawa w kwestyi „włóczących się psów i kotów“, jest niejasna i wymaga zmiany, gdyż w dzisiejszem jej brzmieniu nie może być z pożytkiem zastosowaną.

Z tem zapatrywaniem zgodzić się nie mogę, a że mi chodzi o ustalenie pewnych zasad prawnych w tym przedmiocie, więc pomijam te wywody szanownego autora, w których uznaje prawo strzelania, „włóczących się psów i kotów“, a jedynie z ubocznych względów, a więc ze względu na niemożność trzymania osobnej myśliwskiej straży polowej, lub ze względu na obawę zatargu z gminą, wykonanie istniejącego prawa uważa za trudne lub niemożliwe.

Oba te względy, a zwłaszcza drugi, są bardzo ważne i na uznanie zasługują, nie mogą jednak usprawiedliwić narzekania na istniejącą ustawę, tembardziej, że w tym wypadku niejasność właściwie nie istnieje.

Według § 43. ust. łowieckiej, wolno uprawnionemu do polowania zabijać „włóczące się psy i koty po polach i po lesie, lecz nie w bliższem oddaleniu, jak 300 metrów od domu mieszkalnego“.

Nadmienić tu muszę, że w polskiem wydaniu ustawy łowieckiej z r. 1898. (Złoczów, nakładem Wilhelma Zuckerkandla), zaszła w §. 43-cim omyłka, opuszczono bowiem słowa i w „lesie“, które to słowa mieszczą się w autentycznym tekście.

Ustęp drugi powyższego §. jest jasny, a wymagałby chyba wyjaśnienia w tym kierunku, że pod domem mieszkalnym ma być rozumianym dom właściciela psa lub kota, a nie dom mieszkalny wogóle, czyli, że odległość 300 metrów od domu właściciela psa lub kota, a nie od jakichkolwiek innych domów osób trzecich ma być mierzoną. Nie uwłacza w niczem to tłumaczenie przepisowi §. 40. ust. łow., który zabrania strzelać i tropić zwierzynę w najbliższem otoczeniu zabudowań.

Ustęp pierwszy cytowanego wyżej §. jest mniej jasny, choć błąd w interpretowaniu tego przepisu ustawy wydaje mi się niemożliwym; nie może przytem żadna ustawa bawić się w kazuistykę, bo właśnie wtedy otwiera się szerokie pole sporom i nieporozumieniom.

„Włóczące się psy i koty...“ mogą być strzelane; chodzi więc o ustalenie, kiedy pies czy kot „się włóczy“.

„Włóczy się“ pies, jeżeli przydybanym będzie na polu lub w lesie bez właściciela i to niezależnie od tego, czy pies taki łapie myszy lub pędraki, czy goni zająca, czy zupełnie bez celu chodzi, lub wreszcie leżąc, wygrzewa się w słońcu, a więc każdy taki pies może być zabitym, bo jedyną sankcyą dla jego obecności na polu, jest równoczesna bytność przy nim właściciela.

Gdy właściciel jest obecnym, nie ma się prawa strzelania nawet wtedy, gdy ten właściciel bawi się właśnie w kłusownictwo i używa psa do polowania, bo wtedy właściciel jest kłusownikiem, a pies tylko narzędziem kłusownictwa, i zabicie takiego psa byłoby tak samo nieprawnem, jak połamanie i zniszczenie strzelby — strzelbę można tylko odebrać (§ 38. ust. łow.), psa można złapać a nie strzelać.

Jeżeli więc przy panu psa zabić nie można, powstaje z logiczną konsekwencyą pytanie, do jakich granic obecność właściciela, bytność psa na polu sankcyonuje. Odpowiedzi na to pytanie szukać należy raczej w praktyce, jak w teoryi, a jedynie trafnem wydaje mi się przyjęcie kryteryum, na podstawie którego może uprawniony do polowania i jego służba, zabić każdego psa na polu i w lesie, przy którym w bezpośredniej bliskości nie ma nikogo z ludzi, a tem samem uzasadnionem jest przypuszczenie, że pies „się włóczy“. Na wypadek zaszłej pomyłki i wynikłego stąd sporu, jedyną w takim razie obroną i to obroną skuteczną, jest dobra wiara uprawnionego, a nie ma sporu i nie ma wątpliwości, jeżeli stwierdzonem być może, że pies oddalił się od pana na więcej niż 300 metrów, bo wtedy przepis § 43. ust. łow., co do oddalenia od mieszkań, analogicznie musi być stosowanym. Nie ma także — mojem zdaniem — wątpliwości, jeżeli pies w chwili strzału gonił zająca, bo wtedy jego szkodliwość zatrze z pewnością w najbardziej teoretycznym umyśle sędziowskim wszelkie wątpliwości co do oddalenia od pana.

Nie ustalono w ustawie granicy, nie określono ściśle pojęcia „włóczącego się psa“; mogą stąd w praktyce wyniknąć spory, to prawda, ale spór może powstać zawsze w praktyce, gdy wykonanie praw zbliża się do ich ostatecznej granicy, gdy przeto o ustalenie ścisłe właśnie tej granicy chodzi, tego rodzaju trudności wywołuje każda ustawa, to też zarzut zrobiony ustawie łowieckiej w tym specyalnym wypadku nie jest słusznym.

Propozycye pana K. Gołębskiego, co do zmiany § 43. ust. łow., nie wydają mi się praktyczne; nakładanie grzywny na właściciela psa, to droga długa, trzeba do tego władzy, trzeba ustnego czy pisemnego doniesienia, trzeba świadków na stwierdzenie faktu, trzeba jakiejś rozprawy, orzeczenia a wreszcie egzekucyi, ściągnięcia nałożonej grzywny a pominąwszy powolność postępowania, cały ten proceder wywołałby bez wątpienia więcej rozgoryczenia i waśni, której chciałby słusznie szanowny autor uniknąć, aniżeli jeden nabój prochu i śrutu.

Jeżeli zaś ustawa pozwala już raz właścicielowi polowania, na psa włóczącego się, wydać wyrok śmierci i wyrok ten wykonać, czyli poprostu psa zabić, to niepraktycznem byłoby ograniczenie tego prawa dodatkowymi przepisami, lub wprowadzanie nowej kary, t. j. grzywny za psa n i e u w i ą z a n e g o.

Ograniczyć prawo zabijania tylko na psy chodzące „s a m o p a s“, a więc bez właściciela, byłoby to ścieśnienie dzisiejszej ustawy, która pozwala zabijać, choć właściciel jest obecny; pozostawić dzisiejszy termin „włóczącego się“ psa, a zaprowadzić ponadto grzywny na właściciela, także niepraktycznie, bo wtedy powstałaby zaraz w praktyce wątpliwość, czy pies buszujący swobodnie po polu, a więc nieuwiązany, przy równoczesnej obecności na polu właściciela, może być zabity, czy tylko właściciela można za nieuwiązanie psa grzywną ukarać.

Wobec tego redukują się wywody p. Gołębskiego do tego, że przepis § 43. ust. łow. jest jasny i że tylko wykonanie tego przepisu w praktyce jest trudne.

Skutecznego wykonania tego przepisu nie podobna pomyśleć inaczej jak przy ścisłym nadzorze i przy osobnej polowej straży myśliwskiej. Na co się bowiem przydał spór o niejasność ustawy, jeżeli w wypadkach zupełnie jasnych, niema komu zagwarantowanego ustawą prawa wykonać — poco mierzyć oddalenie się psa od domów mieszkalnych, gdy skonstatowawszy, że pies typowo „się włóczy“, nie ma komu go zabić.

Prawda, że strażnik taki kosztować musi, ale ten koszt jest minimalny, a już po roku wróci się z procentem w podniesieniu zwierzostanu.

Znam dokładnie taki przykład, a słyszałem o wielu podobnych; oto jeden z moich bliskich znajomych przyjął na zaprzysięgłego strażnika polowania — notorycznego kłusownika wiejskiego, płaci mu 3 złr. miesięcznie i strzałowe po 50 ct. za zabicie psa lub kota. Zaraz w pierwszym roku zabił ów były kłusownik, a dziś strażnik, zwyż 50 psów i tyleż kotów — kosztował więc ten nadzór około 100 złr. na zwyż 10.000 morgów terytoryum myśliwskiego, ale zato w następnym roku padło około 300 kuropatw (zajęcy w polu nie strzelano), a zatargów z gminą nie było żadnych.

Dziś psy wszystkie na uwięzi pilnują chałup i w polu tylko wyjątkowo psa widać, a stało się to tylko dlatego, że pilnowano bardzo pilnie przez pierwszy rok i że strzelano psy tylko faktycznie „włóczące się“, tak, że nikt nigdy nie mógł podnosić zarzutów.

Chłopi nasi wychodzą na robotę w pole nie codzień i nie przez cały rok, pies któremu się udało bodaj parę razy złapać zajączka lub wyjeść gniazdo kuropatwie, źle z reguły w domu żywiony, pójdzie na polowanie z pewnością i wtedy, gdy jego pan w domu zostaje, gdy w polu nie ma roboty, a takie chwile wyzyskać można bardzo łatwo, naturalnie przy odpowiednim nadzorze.

II. W dalszych ustępach swej korespondencyi konstatuje szanowny autor, że w jego powiecie istnieją terytorya, na których kwitnie kłusownictwo zupełnie bezkarnie, gdyż na tych terytoryach nikomu prawo polowania nie służy.

Zdaje mi się, że zachodzi tu jakieś nieporozumienie, które coprędzej wyjaśnić należy, tembardziej, że szanowny autor odnosił się już podobno w tej sprawie do kompetentnego c. k. starostwa, a nieporozumienia między c. k. starostwem, a ustawą łowiecką, w interesie łowiectwa przedłużać nie można.

Ustawa łowiecka z 1. kwietnia 1898, wydaną została dla całej Galicyi i W. Księstwa krakowskiegw, jej moc obowiązująca sięga w najodleglejsze zakątki kraju, a więc obowiązuje wszędzie. N i e z n a u s t a w a ż a d n y c h w y j ę t y c h t e r e n ó w, a więc i w powiecie podhajeckim takie tereny istnieć nie mogą i nie powinny.

Terytorya, o których szanowny autor wspomina, powstały stąd, że znaczne kompleksy lasów, tworzące dawniej dobra tabularne, lub może i dziś jeszcze istniejące na papierze (w tabuli etc.), jako dobra tabularne, zostały rozparcelowane między okolicznych włościan. Ponieważ nabywcami byli poszczególni włościanie, a nie gmina jako taka, przeto mamy tu do czynienia z majątkiem osób prywatnych, a nie majątkiem gminnym.

Według § 3. ust. łow. przysługuje prawo polowania w s p o s ó b s a m o d z i e l n y „każdemu posiadaczowi nieprzerwanej przestrzeni co najmniej 115 hektarów“ i to bez względu na to, czy odnośna przestrzeń jest obszarem dworskim, czy własnością chłopską, czy gminną, czy wreszcie własnością spółki. Ostatnia ewentualność nie ma w tym wypadku zastosowania, według ustawy własność spółki musi być niepodzielną, a w tym wypadku gdyby nawet przyjąć istnienie spółki chłopskiej, podział terytoryum między spólników faktycznie nastąpił.

Chodzi tu zatem o rozstrzygnięcie pytania, c z y p o s z c z e g ó l n i w ł a ś c i c i e l e r o z p a r c e l o w a n e g o t e r y t o r y u m — m a j ą s a m o i s t n e p r a w o p o l o w a n i a, c z y n i e. Jeżeli go nie mają, t. j. jeżeli żaden z nich nie posiada nieprzerwanej przestrzeni 115 hektarów, lub też jeżeli posiadają prawo do samoistnego polowania, tego samoistnego prawa polowania nie zgłosił (§ 6. ust. łow.), to w obu tych wypadkach, stosownie do przepisu § 4. ustawy łowieckiej, nie istnieje prawo samoistnego polowania i odnośne terytoryum d o o k r ę g u p o l o w a n i a g m i n n e g o m u s i być wcielone i j a k o t a k i e w y d z i e r ż a w i o n e. Ustawa w § 4-tym określa, że takie nie mające samoistnego prawa polowania obszary, mają być wcielone do terytoryum gminy, w której obrębie leżą, lub też z którą jedną miejscowość stanowią. Jeżeli zatem stosunek owych rozparcelowanych terytoryów nie został administracyjnie uporządkowanym i parcelanci nie należą dotąd do żadnego związku gminnego, to w myśl powyższego przepisu ustawy łowieckiej, obszar do nich nale-

żący, ma być włączony do polowania gminnego tej gminy, z którą rozparcelowane terytoryum j e d n ę m i e j s c o w o ś ć stanowi.

Wobec tego stanu rzeczy zaszło w tym wypadku, albo nieporozumienie, albo przeoczenie ze strony c. k. starostwa, którego usunięcia z ustawą łowiecką w ręku, szanowny autor z całym naciskiem domagać się może.

Zastrzegłem się u wstępu, że obcym mi jest zamiar polemizowania; powyższe moje uwagi zamieściłem w przypuszczeniu, że każda rzeczona dyskusya na temat nowej ustawy łowieckiej, tylko pożytek przynieść może. A myślę, że wymiana, choćby publiczna, zdań w sprawach łowiectwa dotyczących, świadczy przedewszystkiem o tem, jak bardzo podniesienie łowiectwa biorącym udział w dyskusyi na sercu leży, godny naśladowania przykład dał p. Kazimierz Gołębski, poruszając w swej korespondencyi tyle ważnych, a wymagających koniecznie naprawy kwestyi; ja kończąc moje uwagi, chyba tylko zapewnić mogę, że te same kierowały mną uczucia.

Dr. Władysław Sołowij.

T a r n ó w, 24. marca 1900.

Pod umiejętnem kierownictwem nadleśniczego, p. Karola Scherautza, odbyło się w połowie stycznia 1900 r., w 15 strzelb, polowanie w rewirze Biadoliny, należącym do dóbr Radłów, własnością p. Dolańskiego będących.

Szaraki wywędrowały w pola, zatem w lesie nie wiele ich było, z pozostałych 30 padło pod strzałami myśliwych, bardzo mała garstka uszła cało, za to wszystkie lisiury w liczbie 6, jakie wyszły na strzelców, przypłaciły futrami. Uderzała na polowaniu mnogość sarn, całe rudle wychodziły na strzelców i gdyby nie ta okoliczność, że wielu myśliwych wstrzymywało się od strzału, nie mogąc rozróżnić kozłów od kóz, z których niektóre, prastare ryki miały pod brzuchem naróśla tłuszczowe, czyniące je na pierwsze wejrzenie podobnemi do samców, byłoby padło co najmniej 20 silnych kozłów, obawa przed zastrzeleniem płci żeńskiej sprawiła, że na rozkładzie znalazło się tylko 7 okazałych capów.

Przy tej sposobności nie zawadzi podnieść, że w rewirach o tak znacznej ilości sarn, stare i niepłodne ryki, które służba leśna znać powinna, winny być przez służbę leśną odstrzelone ze względu na szkody, jakie miłe te stworzenia w kulturach lasowych wyrządzają. Polowania w lasach Radłowskich zaliczają się od dawna do najlepszych w tych stronach i mogą rywalizować tylko z polowaniami w sąsiednich lasach księcia Eustachego Sanguszki, gdzie ochrona zwierzyny z pietyzmem bywa przestrzeganą, nie dziw więc, gdy stan sarn jest nadzwyczajny.

W stosunku do sarn liczba zajęcy nie zwiększa się, mimo, że Zarząd lasów Radłowskich dokłada wszelkich starań, aby hodowlę podnieść.

Prawdopodobnie mokra pora roku 1899 wpłynęła na zmniejszenie się liczby szaraków. Nie przyczynia się też do podniesienia stanu zajęcy strzelanie w polach na pomykanego przez sąsiadów, gdy szaraki wyjdą z lasu w pola, aby w jesieni podczas lenienia wygrzewać się do słońca. Wielokrotnie skonstatowano, że na tego rodzaju polowaniach na 10 ubitych szaraków, padło 6--7 samic, które jako leniwsze od samców, dosiadują podczas gdy kopyry rodzaju męskiego wyjeżdżają na 100 kroków i rzadko dostaną po skórze.

Gdy polowałem przed 15-stu laty z chartami w dobrach Tropiszów, Czernichów, Pobiedniki w Królestwie polskiem, guberni kieleckiej, ilość zajęcy się nie zmniejszała, choć chartami łowiono przeciętnie 200 sztuk rocznie na obszarze 2000 morgów. Przekonałem się, że przed chartami pomykały samce, jako ostrożniejsze, na 300—400 kroków naprzód i te bywały łapane, podczas gdy samice dosiadywały na kilka kroków od konia i psów i nie wyskakując z kopna, ocalały. Ile zaś razy takiego zająca charty z kopyta złapały, okazało się, że była samica a bardzo rzadko młody samczyk.

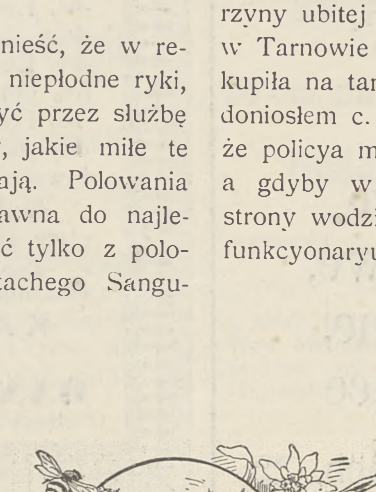
Jak zgubnie oddziaływa na rozmnożę zajęcy przewaga samców, o tem już wiele razy pouczał *„Łowiec.“*

Również i kłusownictwo rozgałęzione w tarnowskim powiecie nie przyczynia się do podniesienia zwierzostanu.

Na Grabówce, przedmieściu Tarnowa, zamieszkanem przez żydków, można w każdej porze kupić zająca lub kozę (sarnę), żydek zamieszkały na wsi, kupuje ubitą zwierzynę od kłusownika, przywozi do miasta i sprzedaje innemu żydkowi, ten zaś puszcza towar dalej w kurs. Żyd nie był nigdy myśliwym w rozumieniu łowieckiem, strzału się boi, ale zato handlu kradzioną zwierzyną wcale się nie wyrzeka.

Jeszcze bardziej karygodnem jest nabywanie zwierzyny ubitej w czasie zakazanym, jak to miało miejsce w Tarnowie dnia 7-go marca 1900, gdy pewna dama kupiła na targu w Tarnowie świeżo ubitego zająca, o czem doniosłem c. k. starostwu w Tarnowie i mam nadzieję, że policya miejska nie wyśledzi sprawcy, bo jest delikatną, a gdyby w dodatku handlarzem był żydek, gromy ze strony wodzirejów miejskich spadłyby na niedelikatnego funkcyonaryusza policyi.

Dr. Eugeniusz Wojnarski.



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.